



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;**
otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie **1** rb., z przes. poczt. **1** rb. **25** kop.

Nr. 41.

Warszawa, d. 8 Października (25 Września) 1904 r.

Rok III.

Do art.: p. t.: „Na Dalekim Wschodzie“.



Arba chińska.

JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

V.

Kwantun i Mandżurja Południowa.

Pogoda, która z wyjątkiem jednego dnia sprzyjała nam dotąd stale, zmieniła się z chwilą wyjazdu z Nagasaki. Zaraz po wyjściu z zatoki uderzył w nas NW, który odtąd nie opuszczał nas aż do końca podróży. Był to znak rozpoczęcia się musonów zimowych, trwających tu do końca lutego. Istotnie, powietrze ochłodziło raptownie i oziębiało się coraz bardziej, w miarę posuwania się na północny zachód.

Gwałtowne huśtanie się statku, coraz to zapadającego nosem w otchłań wodną po to, aby po chwili wspinać się na górę, obnażając śrubę, której drgania wstrząsały wówczas całym pokładem; przejmujące zimno, wzmagane przez podmuchy wiatru, zrywającego kapelusze z głowy i zalewającego pianą pokład, czyniły trzydniową podróż morzem bardzo mało zabawną.

Z prawdziwą przyjemnością usłyszeliśmy też przy śniadaniu trzeciego dnia podróży zapowiedź kapitana, iż za parę godzin przybijemy do Dalniego. Istotnie, około godziny czwartej po południu, wpłynęliśmy z kilkogodzinnym opóźnieniem do obszernej zatoki Talienuwan, na której południowym brzegu leży Dalni, ów słynny port i miasto, powstałe jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej na skalistym półbrzeżu Kwantunu. Jeszcze przed 4 laty stała na tym miejscu uboga osada chińska, a teraz był to pierwszorzędny port i miasto o 35 tys. mieszkańców, ze skwerami, oświetleniem elektrycznym, telefonami i t. d.

Na spotkanie nasze wyszła szalupa z doktorem i urzędnikiem kolejowym i po dokonaniu przepisanych formalności, zabrała nas z B. na ląd. Na brzegu oczekiwali nas riksze, lecz jakże od japońskich odmienni! Przedewszystkim było ich dwu: jeden ciągnął za dyszelki, a drugi popychał z tyłu, następnie jako kontrast do gołonogich japończyków, ubranych w szerokie słomiane kapelusze, chińczycy byli w wатовanych kurmach, spodniach i w czapkach z uszami. Ale bo też i różnica w temperaturze dawała się mocno odczuwać. W Na-

gasaki było formalne lato, gdy w Dalnim zastaliśmy już głęboką jesień z paru stopniami mrozu przy ostrym NW.

W hotelu, należącym, jak większość domów w Dalnim, do Tow. kolei Wschodnio-Chińskiej, znaleźliśmy z trudem mały pokój. Tu odszukał mię brat, urzędujący w Dalnim od kilku miesięcy, a na liście gości znalazłem nadto paru znajomych z Charbina, oraz kuzyna, oficera marynarki, który po przebyciu 3 lat na Dalekim Wschodzie, wracał właśnie za urlopem do kraju. W tym miłym towarzystwie spędziłem wieczór.

Nazajutrz zwiedzałem Dalni. Historia powstania tego miasta jest następująca. W r. 1898 na mocy traktatu, zawartego w Pekinie, Rosja zajęła, tytułem dzierżawy na lat 25, południową część półwyspu Lao-dun, tak zwany Kwantun, wraz z twierdzą Portem-Artura. Jednocześnie Chiny udzieliły koncesji na połączenie tego kraju odnogą kolejową z budującą się właśnie linią kolei Wschodnio-Chińskiej, mającej połączyć Syberję z krajem Usuryjskim i Władywostokiem. Budowę odnogi tej objęło Tow. kolei Wschodnio-Chińskiej, które postanowiło również stworzyć tu pierwszorzędny port handlowy. Ponieważ zatoka Portu-Artura okazała się zbyt małą dla pomieszczenia marynarki wojennej i handlowej, a nadto uznano słuszność zasady, iż istnienie twierdzy działa krępująco na handel, przeto postanowiono stworzyć port samodzielny. Wybór padł na zatokę Talienuwanu i tu na południowym jej brzegu wzniesiono w ciągu lat 3-ich port i miasto Dalni kosztem około 40 mil. rubli.

Podczas mojej bytności, t. j. w końcu listopada r. 1903, port był zupełnie już wykończony, posiadał wygodne granitowe wybrzeże, dok dla naprawy statków, obszerne składy towarowe, połączone torem z koleją, i inne podobne urządzenia. W porcie stało kilkanaście parowców: japońskich, angielskich rosyjskich i własnych Tow. kolei Wschodnio-Chińskiej, ładowanych herbatą, której transport został prawie całkowicie skierowany na Dalni.

Co do miasta to zupełnie już zabudowane i urządzone było t. zw. Administracyjne

o, t. j. dzielnica, zamieszkała przez urzędników kolei i żeglugi parowej, którym Tow. kolei Wschodnio-Chińskiej obowiązywało być dostarczyć mieszkań. Składało się ono z kilkunastu ulic, porządnie zabrukowanych i oświetlonych lampami elektrycznymi, z domami murowanymi, piętrowymi, na wzór angielskich „kocydów” (cottage) otoczonych ogrodzeniem, odosabniających każdą posiadłość; posiadało ogród publiczny, hotel, klub. Inne dzielnice miasta dopiero powstawały.

Wieczór spędziłem u prezydenta miasta i jego twórcy, inż. S., z którym udaliśmy się następnie do klubu, gdzie poznałem całe prawie towarzystwo Dalniego—ludzi, zgromadzonych z rozmaitych stron państwa i szukających we wzajemnym obcowaniu pociechy w tym oddaleniu od kraju.

Nazajutrz, wraz z B. i Dżanem, tłumaczem, który na moje wezwanie przybył do Dalniego, odjechaliśmy do Portu-Artura. Kolej przewijała się wśród skalistych wzgórz, w przerwach pomiędzy którymi widniały rzadkie osady chińskie. Krajobraz w martwocie zimowej był ponury, a niewiele lepszy bywa on zapewne i latem, gdyż roślinność wśród tych skał zdaje się być bardzo uboga.

Dworzec Portu-Artura—mała, drewniana, widocznie czasowa budowla,—leży u stóp dość wysokiej góry, zwanej Górą Przepiórek. Od miasta jest on oddalony o 1½ wiorsty, otacza go przeto zawsze mnóstwo rikszy i dorożek. Kazaliśmy się zawieźć do hotelu i ruszyliśmy na oględziny miasta. Miast właściwie jest dwa: stare i nowe.

Stare miasto, do niedawna rezydencja namiestnika Dalekiego Wschodu, położone jest wpółkole nad t. zw. „basenem wschodnim” czyli rejdem wewnętrznym portu, w dolinie, utworzonej przez szereg skalistych ufortyfikowanych wzgórz. Składa się ono z niepokazanych piętrowych domków, w części przerebionych z chińskich fanz, i tylko pałac namiestnika, zresztą bardzo skromny, oraz kilka domów rządowych ozdabiają miasto. Brukiem poszczycić się może zaledwie kilka głównych ulic; oświetlenie ulic przeważnie naftowe.

Nowe miasto, istniejące jak dotąd na planie, zajmuje pobrzeże „zachodniego rejdu”, połączone jest ze Starym miastem szosą, dłu-

gą na 3 wiorsty i posiadało w tym czasie kilkanaście zupełnie wykończonych gmachów; reszta, jak nowy pałac dla namiestnika, gimnazjum, okazały hotel Tow. kolei Wschodnio-Chińskiej, koszary i t. d. dopiero się budowały.

Pomimo to wszystko, ruch w Porcie-Artura był duży, znać było, że jest to środowisko administracyjne i wojskowe kraju. Na ulicach mnóstwo przechodniów, wojskowych oraz Chińczyków; riksze wymijają zręcznie dorożkarzy, pędzących z hałasem po bruku, ciągną się ładowne arby chińskie, widać wszędzie prowadzone roboty.

Port, niezbyt obszerny, składa się, jakem to już zaznaczył, z dwu basenów, wschodniego i zachodniego. Zachodni, na oko dość rozległy, może tylko w małej części służyć dla statków większych, gdyż jest on tak płytki, iż podczas odpływu część dna bliżej brzegów występuje z wody. To też droga pracuje tu stale. Z tego też względu w porcie stały tylko dżonki chińskie oraz kilkanaście mniejszych statków wojennych, duże zaś pancerniki kołysały się na kotwicach na t. zw. zewnętrznym rejdzie portu, t. j. właściwie w otwartym morzu. Statki wojenne czyniły wrażenie ponure, bo wszystkie pomalowane były na kolor czarny, bojowy. Po raz pierwszy tu, w Porcie-Artura, odczułem, że jesteśmy może w przededniu wojny.

Wieczór spędziłem na miłej pogawędce u mego dawnego kolegi uniwersyteckiego, dr. H., a nazajutrz przed południem opuściłem Port-Artura, udając się do Inkou, skąd mieliśmy ruszyć na południe, do Pekinu.

Z wagonu, korzystając z ładnego dnia, rozglądaliśmy się po okolicy.

Skalisty charakter zachowuje półwysep Kwantuński tylko w południowej swej części. Im dalej posuwaliśmy się na północ, tym kraj, pozostając górzystym, stawał się kulturalniejszym. Wszystkie doliny oraz zbocza gór były zorane i przygotowane do siewu wiosennego, a około coraz liczniejszych wsi i pojedynczych fanz chińskich widać było stogi wymłóconej słomy olbrzymiego gaolanu lub drobnej „siao-mi-dzy” — dwu najpospolitszych gatunków prosa.

(D. n.)



Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej.

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

szturman marynarki handlowej.

(Ciąg dalszy.)

Rok 1837 rozpoczyna drugą epokę żeglugi parowej. W tym bowiem roku Franciszek Smit z bardzo pomyślnym wynikiem robił próby nad wynalezioną przez siebie i opatentowaną w r. 1836-ym śrubą okrętową. Niewielki statek, poruszany za pomocą tego motoru, żeglując po Tamizie i w okolicy Duwru osiągnął szybkość 8 mil na godzinę. *) Zwróciło to uwagę marynarzy i inżynierów. W tym samym roku niejaki Erikson, dzięki poparciu amerykańskiego konsula, Ogdena, wypróbowuje śrubę na większym statku „Francis-Ogden”. Tenże Erikson buduje w Ameryce śrubową fregatę wojenną „Prinseton”, która pod względem szybkości nie ustępuje parostatkom kołowym: szybkość jej wynosi 14 mil na godzinę. Dalsze próby, podjęte na parostatkach śrubowych: „Archimedes”, „Princes-Roajal”, „Gret-Notern”, „Ratler”, „Pelikan” i innych, ostatecznie przechyliły szalę na stronę statków śrubowych. Od tego czasu wielkie parostatki kołowe znikają stopniowo z powierzchni oceanów, a ich miejsce zajmują śrubowce. Opis budowy samej śruby jak i parostatków śrubowych znajdzie czytelnik w I części pracy niniejszej. Ogromny postęp, jaki od czasów Smity i Eriksona uczyniło budownictwo statków śrubowych, nie jest, miejmy nadzieję, ostatnim słowem gienjuszu ludzkiego. Zanim jeszcze elektryczność zastąpi parę w żegludze morskiej, inny jaki motor okaże się, być może, silniejszym od śruby i zepchnie śrubowce do stanowiska podrzędnego, podobnie jak śruba uczyniła to z kołowcami. Miejmy nadzieję, gdyż walka na takim polu ze wszechmiar jest szlachetną i zasługującą na uznanie

*) Podobnie jak Fulton, miał i Smit swych poprzedników: *pterofor* Paktona (1768 r.) jest może najpierwszą próbą użycia śruby do poruszania statków. Dalej idą śruby: Bramy (1785 r.), Szortera (1800 r.), Bruna (1825 r.), Komerou (1828 r.), Perkinsa (1829 r.), wreszcie Wudkrofta (1832 r.). Wszystkie jednak te wynalazki pozostały bez praktycznego znaczenia.

Przyp. aut.

Poniższe zestawienie ułatwi czytelnikowi porównanie rozmiarów dawniejszych statków i nowych:

Żaglowce.	Rok.	Długość w stopach ang.	Szerokość w stopach ang.
Galeasy	w. XV	150	30
Galery	w. XV	170	40
„Constant Warwick” (fregata)	1646	85	26
Lugry	współcz.	77	23
Szkunery.	współcz.	90	24
Brygi	współcz.	112	30
Fregaty	współcz.	205	53
Parostatki.			
„Sawannah” (kołowy)	1818	100	26
„Archimedes” (śrubowy).	1838	125	22
„Oceanic” (śrubowy)	współcz.	702	71

Próby, czynione od czasów Korneljuszaw-Drebla (1620 r.) nad budową łodzi podwodnych, „statki-ryby”: *El-Ictineo*”, *„Plongeur*”, *„Gymnote*”, *„Audace*” — wreszcie najnowsze *„Protektor*”, spuszczone na wodę w 1902 r. w Bridżport, w Stanach Zjednoczonych i *„Fulton*” wskazują, że nierozsądnym byłoby dziś naznaczać granice, których postęp techniki żeglarskiej przekroczyć nie byłby w stanie. Jak głębie mórz, które rozstępują się dziś przed sztabą „okrętów-ryb”, inne nieznanne dotąd dziedziny z zakresu żeglarsstwa otworzą się jeszcze z pewnością przed okiem niestrudzonego pracownika—myśli ludzkiej, uprzystępnia nowe sposoby i znajdą nowe drogi do zupełnego opanowania przyrody. *„Per aspera ad astra*” — oto hasło i zarazem kres wszelkiego postępu.

Wzmianka historyczna o dawnej flocie polskiej.

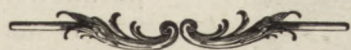
Gdy mowa o historii żeglarsstwa, pozwolę sobie na tym miejscu słów kilka powiedzieć o marynarce polskiej. Z dwu mórz, do któ

rych przylegały ziemie dawnej Rzpltej Polskiej, szczególnie ważne znaczenie miał Bałtyk: morze to, do którego wszystkie większe rzeki polskie wpadały, tworząc naturalne drogi dla handlu zamorskiego, już przez to samo było organicznie z Polską związane. Nie można natomiast tego powiedzieć o morzu Czarnym, oddzielonym od kraju Dzikimi polami, na których rycerstwo polskie wyprawiało ustawiczne harce z hordami Tatarów. To też jedyny port polski, jeżeli takim mianem można nazwać mięscinę na brzegu Dniestru, która na przemiany raz przechodziła do rąk polskich, to znowu do Turcji, dzisiejszy Akerman, a dawniej Białogród — nigdy nie dorósł do tego znaczenia, jakie posiadał Gdańsk — potężne miasto, należące do związku hanzeatyckiego, a mimo to uznające zwierzchnictwo Polski do końca istnienia Rzeczypospolitej. Nie brak też było w Polsce mężów stanu i królów, którzy oceniali należycie całą doniosłość opanowania brzegów morskich i konsekwentnie dążyli do tego. „Jeżeli chcesz W. K. Mość — pisał Jan Zamojski, do króla Zygmunta III-go — by Estonia przy Polsce została, staraj się także i ze swej strony mieć flotę, byś nią strzegł Gdańska, Królewca, Rygi, bronił nią nawom nieprzyacielskim przystępu do brzegów naszych.” A i na sejmach odzywały się nieraz głosy, nawołujące do wystawienia „armaty” na morzu. Znane zresztą są t. zw. „Konstytucje” Karnowskiego, biskupa kujawskiego, według których miały być ugruntowane prawa królewskie

do panowania na morzu Bałtyckim. Zależność Gdańska od Polski datuje się od czasów Kazimierza Jagiellończyka (traktat w Toruniu r. 1466).

Była to jednak zależność wyłącznie prawnej natury i polegała na tym, że Gdańsk otwierał i zamykał żeglugę za wiedzą i wolą króla polskiego. Przywilej ten Kazimierza Jagiellończyka z r. 1457-go Gdańszczanie interpretowali w ten sposób, że sobie zostawiali morze, a Polsce brzegi „dokąd koń dopłynąć i kula armatnia dosięgnąć może”. Dopiero Zygmunt August podjął na nowo myśl rozszerzenia wpływów swoich na morzu Bałtyckim. Trudna to była sprawa, ponieważ żegluga cała była w rękach cudzoziemców, a narody, podwładne Rzpltej polskiej — jak pisał sam Zygmunt do króla duńskiego — „nietylko nigdy nie próbowały swoich sił w wojnie morskiej, ale nawet losu swego nie powierzały nawom morskim”. Porozumiewał się w tym celu król i z księciem pruskim, Albrechtem i z Gdańskiem — wszystkie jednak jego zabiegi w celu wystawienia własnej floty, spełzły na niczym. Wówczas Zygmunt powołał do służby kaprów, Tomasza Sierpinka (Sierpinga albo Spiringa) i Wąsowicza i w ten sposób, w r. 1556-ym powstała flota polska, złożona z trzech okrętów. Po kilku latach liczyła już ona piętnaście statków. Bandera (flaga) polska handlowa wyobrażała rękę po ramieniu z mieczem w dłoni na polu czerwonym.

(D. n.)



Plemiona wymierające.

(Podług artykułu W. S. Barclay'a.)

Mieszkańcy wysp Magielańskich, znanych powszechnie pod mianem Ziemi Ognistej, dzielą się na trzy grupy: Ona, Jagan i Alakaluf. Plemię Ona zamieszkuje wyspę największą, właściwą Ziemi Ognistą; Jagan osiedlone jest na południe od tej wyspy, w pobliżu kanału Beagle, w labiryncie małych wysp i kanałów, zakończonych przylądkiem Horna; plemię Alaculuf mieszka na archipelagu, leżącym na zachodzie tej wyspy, a na południe cieśniny magielańskiej.

Przed sześćdziesięciu laty Darwin powiedział, że mieszkańcy Ziemi Ognistej zajmują

najniższe miejsce pomiędzy rasami ludzkimi; świat dotychczas przyjmował bez żadnego zastrzeżenia to twierdzenie, które, jeżeli może być zastosowane do plemion Jagan i Alakaluf, to nigdy nie dotyczy plemienia Ona. Właściwie nie rozróżniano dotychczas plemion Ziemi Ognistej.

Czterdziestoletnie usiłowania misjonarzy chrześcijańskich nic nie zdołały zdziałać z Jaganami, próżniakami i kłamcami niepoprawnymi. W dziwny, niepojęty sposób okazywali się zawsze przystępnymi wszelkim występkom

i ułomnościom, wypływającym z zetknięcia z białymi, a choroby, importowane przez białych, zmniejszyły ich liczbę z 2000 na 200, tak że można się spodziewać, iż wkrótce znikną zupełnie.

Alakalufowie są bardziej oporni, więc liczba ich sięga jeszcze tysiąca. Ziemię, przez nich zamieszkaną, ubogą i jałową, nie przedstawiają żadnej atrakcji dla okrętów handlowych: jeżeli który z nich zawinie do brzegu, załoga pada ofiarą mieszkańców, chciwych żeru. Język, podania, legiendy, wierzenia Alakalufów są księgą zamkniętą dla białych; bez wątpienia wszakże są zdrajcami, okrutnikami i nieprzystępnymi.



Indjanka z plemienia Ona.

Onowie, chociaż prawdopodobnie są jednakiego pochodzenia z tamtymi, różnią się zupełnie obyczajami i językiem. Można powiedzieć, że sąsiedzi psują im opinię. Północną część ich wyspy zajmują pastwiska; w południowej zarośnięte łańcuchy gór sięgają aż do morza. Do wysokości przeszło trzystu metrów góry te są pokryte zbitymi, nieprzebytymi prawie zaroślami brzoźowemi; w wyższej sferze, pomiędzy lasami z linją wieczystych śniegów, spotykamy wązki pas ziemi, w lecie zarośnięty mchem oraz trawami wonnemi. Tam

pasą się guanaki, przeżuujące zwierzęta, będące głównym pożywieniem Onów. W zimie guanaki schodzą nad morze, gdzie świeży powiew morski utrzymuje pastwiska — a z nimi, przebijając się przez lasy i zarośla, podążają mężczyźni z łukami i strzałami, dla zdobycia pożywienia, gdy kobiety pozostają w domu.

Plemię Onów podzielone jest na małe grupy rodzin, z których każda posiada własne terytorjum, przeznaczone na polowanie. Zabite zwierzę nie jest własnością myśliwca, ani rodziny, lecz przechodzi do grupy i podzielone zostaje sprawiedliwie pomiędzy wszystkich jej członków. Zabicie guanaka na terytorjum cudzym wywołuje zemstę, a niekiedy długie niesnaski między grupami.

Zaledwie chłopcy wyjdą z lat dzieciennych oddzielani bywają od towarzyszków i skazani na życie samotne, samodzielne, włóczęgowskie poczym dopiero po dwu latach dostają psa za towarzysza.

Mężczyźni, jak to bywa także u niektórych plemion afrykańskich, terroryzują kobiety, zmuszając je do bezwzględnego posłuszeństwa, uważając je za niższe społecznie od siebie. Dlatego, jeżeli kobieta opuszcza męża i idzie za innym, nie przynosi jej to hańby ponieważ po prostu była posłuszną przyrodzonemu władcy, mężczyźnie. Uwodziciel jednak zostaje ukarany śmiercią.

Zasada „oko za oko” obowiązuje do zemsty mężczyzną: jeżeli jej zaniedbuje, staje się pośmiewiskiem swej grupy.

O małżeństwie wolno myśleć chłopakom dopiero po dwudziestu latach i wtedy jedynie kiedy dadzą dowód, że umieją wyżywić drugą istotę. Małżeństwa w rodzinie, nawet najdalej, są wzbронione; muszą szukać żon w plemionach dalekich, chociażby wrogich. W okresie, poprzedzającym zaślubiny, mogą liczyć na gościnność i serdeczność całej grupy, do której należy dziewczyna: po dopełnionym akcie ślubnym nieprzyjaźń i zawziętość, o ile istniały, wracają z całą siłą.

Okolo roku 1890 północna część Ziemi Ognistej zajęta została przez hodowców bydła przybyłych z Patagonji przez cieśninę Magiela. Guanaki zmuszone ustąpić miejsce trzodom „białych”, wypędzone w góry, zimę padały stadami.

W tymże samym czasie odkrycie piasku złotego sprowadziło mieszkańcom nową nieszczęście. Niezliczeni poszukiwacze złota

uzbrojeni w fuzje, lecz pozbawieni żywności i sumienia, opanowali całą wyspę, aż do zakątków najskrytszych; hańbili kobiety, tępili guanaki, zniewalali Onów do obrony i zemsty, wszakże nie do okrucieństw, o które niesłusznie oskarżali ofiary. Mieszkańcy Ziemi Ognistej nie znają wyrafinowanych tortur, stosowanych przez ludzi z Północy; zabijają wroga, lecz nie potrafią go męczyć. Niesłusznie także obwiniani są o ludożerstwo; mięso ludzkie przejmuje ich wstrętem, a mając pod dostatkiem guanaków, nie potrzebowali nigdy szukać innej strawy.

Biali przybysze obwarowali się w swoich fermach, w obawie napaści dzikich. Onowie, kierowani wszakże żądzą zemsty, przyzwyczajeni do trudnych łowów, pociągnięci lepszym smakiem bydła niż guanaka, nie przestawali niepokoić ich i napadać, aż wreszcie właściciele faktorji naznaczyli dwadzieścia pięć franków od każdego krajowca, zabitego lub pozbawionego broni. Na razie wystarczało pokazanie brzoźowego łuku krajowca dla otrzymania nagrody; kiedy później wkradły się oszustwa i nadużycia, zażądano ściętych głów nieszczęśliwych ofiar.

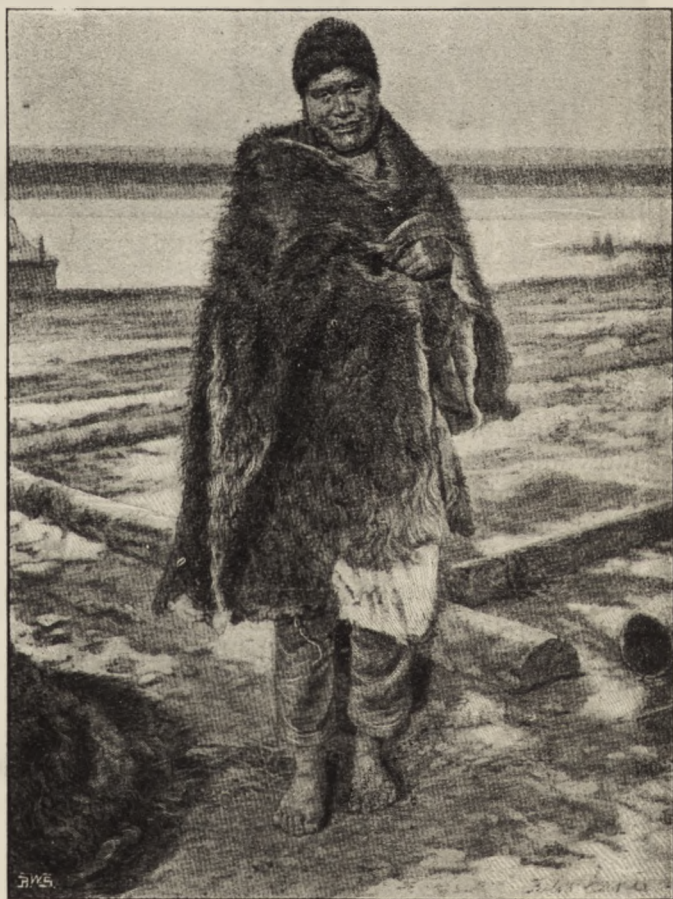
W przemyśle tym niecnym zasłynął niejaki Sam Hesslop, chępiący się, że zabił 500 Onów, małych i dużych. Za każdą głowę płacono mu przyrzeczoną sumę. Od roku 1890 do 1900 plemię Ona zmniejszyło się 2000 na 800 członków wraz z kobietami i dziećmi. Sam Hesslop umarł przed dwoma laty, a po jego śmierci polowanie na krajowców zmniejszyło się nieco.

Ziemia Ognista nie posiada złota zbyt wiele; rozproszone jest ono na całym archipelagu, a najczęściej spotyka się go na wybrzeżach, gdzie sływa z wyżyn z deszczem i topniejącym śniegiem. Ocean jest istotnym zbiornikiem złota, którego na wszystkich wyspach magielańskich znaleziono zaledwie trzy tonny.

Śród poszukiwaczy złota wybitne stanowisko zajął Juljusz Popper, żyd anglo-austriacki, posiadający wyłącznie sposób oczyszczania cennego metalu. Zapewniwszy sobie koncesję na najbogatszym wybrzeżu Atlantyku, w Paramo nad zatoką San-Sebastiano, umiał nie dopuszczać do niego wszystkich, pragnących dzielić jego zyski. Wychodząc umiejętnie z władzą argentyńską w Ushuaia, urządził lokomocję pocztową aż do Saudy Point w Czili, puścił w obieg marki własne i monety złote ze swoim nazwiskiem. Z krajowcami Popper nie wojował, umiał wszakże ostremi sposobami nakazać im szacunek dla siebie. Umarł nagle, zdradziecko zabity w czasie podróży do Buenos-Ayres.

Patrząc z wyżyn swoich na poszukiwaczy złota, zmordowanych pracą, pijanych często, zażartych w bójkach, muszą Onowie w głębi serca odczuwać dla nich pogardę, wstręt i nienawiść. Dla Onów własne ciało jest świętością. Przyzwyczajeni do walki, do polowań, wycieczek, silni są niesłuchanie, sypiają pod gołym niebem w każdej porze roku, piją tylko wodę, gardząc wszelkimi spirytualjami.

Podług granicy, ustanowionej w roku 1892, najbogatsze faktorje Ziemi Ognistej leżą na terytorjum czilijskim, gdy urzędowa władza rezyduje w Argentynie. Kolonja Ushuaia, naprze-

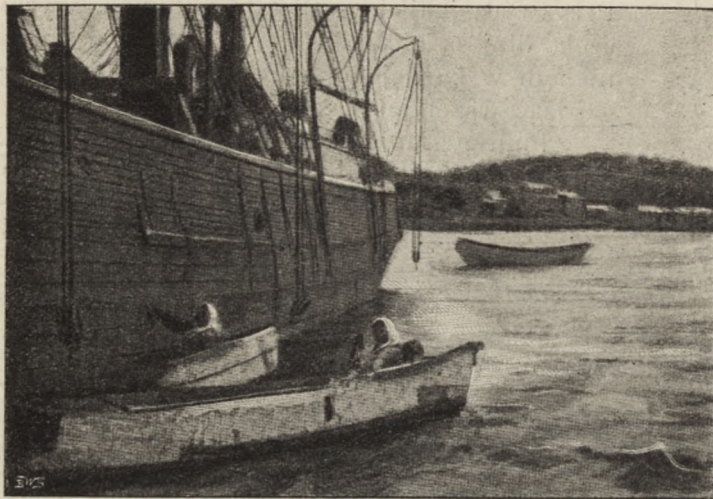


Indjanin Ona.

ciw kanału Beagle, otoczona jest potrójnym łańcuchem nieprzebytych gór, odcięta od całego świata, dostępna jedynie od strony morza. Przystęp ten jednak jest trudny i niebezpieczny tak, że wszyscy tępiciele i mordercy krajowców z łatwością kryją się tam przed władzą czilijską, jak i argentyńską. Tymczasem plemię Ona niknie stopniowo.

Dwie ucieczki pozostały nieszczęśliwym ofiarom: misja zakonników sycylijskich pod kierunkiem monsignora Faguano i kolonja braci Bridges. Otrzymałszy koncesję na ziemię od obydwóch państw południowo-amerykańskich,

zakonnicy ci dają robotę krajowcom w swych faktorjach, lecz Onowie, przyzwyczajeni do pełnej swobody i przestworzy powietrznych, nie mogą wyżyć w chatach i zapadają na choroby



Kobiety jagańskie,

płucne, zabierające liczne ofiary. Nadto nie znali nigdy i nie uznają żadnego bóstwa, więc nauka chrześcijańska nie pozostawia na nich śladu: sumienie zobowiązuje ich tylko do poszanowania własnego ciała, a wyobraźnia buja w świecie natury, przykuwającej ich tysiącami więzami.

Druga ucieczka dla plemienia Ona—kolonja braci Bridges, założona przez ich ojca przyrodnika i misjonarza w Port Harburton, nad brzegami kanału Beagle. Bracia Bridges są Anglikami, urodzonymi w Ziemi Ognistej, mówią-

cemi językiem Onów, którzy, znajdując w nich opiekunów i przyjaciół, śpieszą zawsze na ich wezwanie, pewni, że znajdą nietylko pożywienie, ale radę, współczucie i pomoc. Rząd argentyński zna wpływ braci Bridges i wyznacza im sumę roczną na potrzeby krajowców. Lecz to jest miłosierdzie; plemię Ona zaś wymaga sprawiedliwości!

Wśród plemion tubylczych Ameryki południowej, Onowie przedstawiają, jak Zulu w Afryce, arystokrację naturalną. Dali dowód życiem, że są ludźmi, więc powinni być uważani jako ludzie, nie jako dzikie zwierzęta. Podniesieni na poziom człowieczy, mogą być bardzo użyteczni. W przeszłym roku bracia Bridges otworzyli drogę pomiędzy kanałem Beagle a wybrzeżem atlantyckim, posiłkując się tylko pracą Onów. *)

Śród przestrzeni, leżących odłogiem na Ziemi Ognistej, jest jeszcze kilkaset mil kwadratowych, uznanych przez kolonistów za nieużyteczne. Czyż będzie zbyt wygórowanym pragnieniem żądanie, aby oddano Onom przynajmniej te jałowe wzgórza, których do niedawna byli wyłącznymi właścicielami.

W. Zarembina.

*) Nieco inaczej na działalność braci Bridges zapatruje się de Gerlache w opisie swej podróży do bieguna południowego p. t. „15 miesięcy na oceanie Antarktycznym.” (Przyp. red.)

PIOTR LOTI.

I N D J E.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Słoń ciężko się wznosi przy dźwięku dwu dzwonek, łagodnym, jednostajnym. Słońce prostopadle zarysowuje pod nim cień jego ruchomy i odzwierca czarnością na ziemi chwianie się jego trąby. Dwoje ludzi, poprzedzających nas dla etykiety, gramoli się sennie, z paradnemi buławami w rękach, zakończonemi srebrnymi gałkami. Na różnych wysokościach drogę przecinają bramy,

przez które się wnosimy ze wschodnią powolnością; są to bezsprzecznie bramy straszne, spiętrzone wieżycami i strzelnicami; strzegą ich żołnierze gwaliorscy, prawdopodobnie dla tego, że król ich bawi obecnie tam w górze, pomiędzy szczątkami przeszłości przeogromnej. Dalej dokoła nas rozszerzają swój krąg przestrzenny; odcienie drzew zeschniętych zlewają się szarością w mgłę

jakby pyłu, który zawisł w powietrzu; szary horyzont gubi się w niebie szarym, przesyconym kurzem jaskrawym, a wielkie ptaki drapieżne, od południa już znużone, przestają krążyć po nad okolicą łaknącą, omdlałą, półmartwą.

Od skał promieniowanie straszne i pałące; powietrze bez ruchu najmniejszego; oto ptaki nawet zasypiają, odrętwieniem południa zmożone; orły i jastrzębie, zwinawszy skrzydła, usadowiły się i przeprowadzają nas wzrokiem drętym. Chód słonia wprawia umysł powoli w ociężałość, jak kołysanie ciągle gondoli; oczy osleple zamykają się i wkrótce, pośród tego zespołu rzeczy szarych, gdzie nawet czerwien granitów spławiła pod pyłem lat całych bez deszczu, nie widzą nic już, prócz najbliższych planów, prócz

rzeczy, tuż przedemną rażących. A więc to turban pozłocisty, brunatny kark, plecy udrapowane na białą, małą lanca zaostrzona; to kornak (woźnica, kierujący słoniem) hinduski, w pozie Buddy siedzący na ciemieniu zwierzęcia, w rękę dzierżący młotek do kierowania. Zatym trochę sukna szkarłatnego na głowicy — i oto dwoje uszu przeolbrzymich, różowych, czarno centkowanych, które, jak wachlarze, ciągle w ruchu, strząsają bąki i owady.

Słoń nieumęczony, łagodny i poczciwy, ciągle się posuwa, ubijając drogę ciężkimi stęporami. Z boków — skał zboczami, ogromne złomy ociosane, do niego podobne, na jego obrazy mniej lub więcej cięte, przez ludzi, Bóg wie z jakiej epoki zamierzchłej; luźne płaskorzeźby, wyobra-



Onowie, wychodzący na łowy.

żające trąby, głowy z długimi kłami, czasami grzbiet zwierzęcia, ledwie wyprowadzony z masy pierwotnej. Są tu również napisy w kilku językach, dziś już zaginionych, i bóstw wiele, wykutych w tejsze górze, w niszach, — dzieła Patów czy Jainów, którzy byli pierwszymi mieszkańcami tych miejsc wstrząsających.

W dole, na równinie błyszczącej, z pod lekkiej zasłony jakby oparu — pyłu wirującego, poczynają odsłaniać się zwaliska dawnego Gwalioru; a także nowe białości, — Indjanie mianują to pogardliwie Laszkarem (koczowiskiem), — owe wielkie cisy kamienne, owe wieże świątyń brahmińskich. Południe. Ogień biały leje się nam na głowy, granity rozpalone tchną żarem pieców ognistych. Orły, jastrzębie i wrony śpią, ogłupiale ciszą i gorącym.

I oto, wznosząc się ciągle, przybywamy do stóp tych strasznych pałaców, które usadowiły się nad skrajem przepaści, i które przedłużają do góry grzbiet górski. Fasady z wieżycami — nieporównanej piękności i okazałości, na całej swej przestrzeni na posadach równych osadzone, z olbrzymich bloków zawsze jednakowych, ozdobione mnóstwem niezliczonym mozaik, emalją niebieską, zieloną i złotą, wyobrażającą wszelkiego rodzaju ludzi i zwierzęta. Były to dawniej pałace mieszkalne potężnych królów Gwalioru, którzy aż do XVI wieku gnieździli się tu wysoko, na niedostępności.

Ostatnie wrota przeolbrzymie, pokryte emalją lazuruową, strzeżone dotąd przez żołnierzy Maharadży, otwierają nam dostęp na tę równię wierzchołka, która ma prawie wiorstę długości,

która jest w całości otoczona murem warownym; która ma opinię najniebezpieczniejszej i najsilniejszej ze wszystkich warowni Indji zachodnich; która od czasów historycznych stale była przedmiotem żądzy dla królów zdobywców; która widziała straszne batalje; której dzieje napełniły by całe tomy — i która dziś jest jedynie wysokim ustroniem samotności, pokrytym pałacami, grobowcami, świątyniami i bóstwami wszystkich cywilizacji i wszystkich czasów. Nigdzie w Europie niema miejsca, któreby mogło się z nim równać, jako z muzeum tragicznym wielkości, które zczczyły.

Przed pierwszym pałacem, ozdobionym emalją, który jest najmniej starożytnie surowy i najmniej zniszczony, słoń kłęka; zsiadamy i wchodzimy.

Pałac ma zaledwie pięć wieków; podmurowania atoli datują od czasów królów Palów, których dynastia panowała w Gwaliorze od III do X wieku naszej ery. Sale niskie, przestraszające, z powalą ze złomów granitowych. Cisza osobliwa ruin, półmrok raptowny i dla nas, przychodzących z nadworza pałacego nieco ochłody. Z przepychu dawnego pozostały tu jedynie rzeźby bez liku i czarowne emalje na murach, wyobrażające zwierzęta uskrzydłone, feniksy, pawie z piórami zielonemi albo niebieskiemi, w kolorach świątecznych, nie zmieniających się, których przepis zaginął. Widok świata zewnętrznego przenikał tu jedynie poprzez płytki granitowe, wmurowane w całość budowy, z przebitemi małemi otworami: takie były okna, dokąd podchodziły marzyć piękne branki, i gdzie sadowili się niewątpliwie królowie, obserwując obłoki, dal równiny, wojska i bitwy. Cała fasada, spojierając w otchłań, — nie mniej stu stóp wysokości przy trzech stach stóp długości, — wszystkie sale, wszystkie komnaty, mocne, jak lochy forteczne oddychają jedynie przez te płytki dziurawione, których nie można było otworzyć — ani dla ucieczki, ani dla zbrodni, ani dla miłości, jeszcze bardziej więzące, niż kraty więzienne. I wszędy pod płytami posadzki schody ukryte, wiodące do piwnic, podziemi i loszków; aż do niewiem jakiej głębokości góra ta porznięta lochami drążonemi, czarnemi kurytarzami.

Inne pałace, z boku tego, następują po sobie, coraz bardziej barbarzyńskie. Jeden z nich, pobudowany z ciosów jeszcze tęższych, datuje od królów Palów. Inny, z czasów Jainów, dziś już bezkształtny, całkiem ze skalą zmieszany, posiada maleńkie trójkątne okienka w górze, jak strzelnice.

Poza tym, wielka ta płaszczyna warowna, pokryta świątyniami, których rozmaitość sama

mogła by już opowiedzieć wszystkie odmiany braminizmu; na wypadek obłączenia są tu także cysterny drążone, tak wielkie, że mogły zaopatrzyć tysiące ludzi na czas nieograniczony; cała przytym zasłana posągami i grobowcami.

W świątyni dawnej Jainów, której bóstwa zostały niegdyś pokiereszowane przez żołnierzy Wielkiego Mogola, zatrzymuję się, by podumać, porównać to z zabytkami religijnemi naszej starożytności chrześcijańskiej... Kościoły nasze, nawet najpiękniejsze, wzniesione z małych głazów nierównych, spojonych cementem. Tu przeciwnie, ciosy olbrzymie, wyborowe i całkiem prawidłowe, dopasowane, doprawione jeden do drugiego, jak w zegarku, trzymają się same przez się wskutek dokładności i własnego ciężaru, tworząc zespół wieczysty...

I znowu z memi Indusami siadam na grzbiecie zwierzęcia powolnego i kołyszącego, i przy dźwięku tych samych srebrnych dzwonek, z tym samym spokojem, zjeżdżamy drugim zboczem góry, szczeliną przepastną skał czerwonych, które rzucą wkrótce nieco cienia na nasze głowy. Mijamy się z jeźdźcami, jadącemi na górę, których konie stają dęba i rzucają się, jak również i wielbłąd, czyniący nagły zwrot, od czego spada ładunek; nawet tu, w tym kraju słoni, mało jest zwierząt, przywykłych do przechodzenia obok słonia bez strachu.

Szyja, którą zjeżdżamy, usłana olbrzymiemi postaciami z kamienia; *) jest ona siedliskiem kolosów Tirthankarów, ciosanych z tej samej góry, stojących lub siedzących, w niszach i w grotach. Niektóre z pośród nich, dwadzieścia stóp wysokie, całkiem nagie i prawie sprośne w szczegółach nagości. Patrzą one na siebie z jednej strony doliny na drugą — i droga nasza pośród nich wypada.

Tędy, tą drogą pomiędzy temi samemi postaciami, ciągnęła w wieku XVI strącająca bóstwa armja Wielkiego Mogola; jednym poobcinała głowy, drugim ręce i inne członki, i wszystkie tak pokaleczyła. **)

Zdaje się, że znowu je widzimy tam w dole, poprzez pył ciepły, którym kraj ten zamglony... Tłum ten kamienny ciągnie się dalej, innemi dolinami, co przed nami się otwierają; i nie widzimy końca ich. W powietrzu jakby pył zawisł,

*) Największe z tych posągów są posągi Parvanathy i Tirthankara Adinatha, założyciela religii Jainów; nie sięgają one po za XV wiek.

**) Kalectwa, zrządzone przez cesarza Babara, w r. 1527.

a wszędy bez przerwy słońce blaskiem oślepiające. Upał usypia nas, jak również dźwięk dwu dzwonek spokojny; w miarę jak zstępujemy, wszystko się wciąż bardziej zasnawa — i tak w pół-

śnie ciągniemy nasz pochód wahadłowy, pośród olbrzymów, których poczucie powoli zaciera się w naszym umyśle.

(C. d. n.)



Morze Czerwone.

Z powodu zajęcia na morzu Czerwonym przez rosyjskie okręty kilku parowców angielskich i niemieckich, morze to stało się aktualnym. Wobec tego, dla dokładniejszego zapoznania z nim czytelników, przytaczam poniżej opis jednej z mych podróży.

Opuściwszy na pokładzie korwety „*Fruntsberg*” wczesnym rankiem dnia 2 sierpnia Suez, znaleźliśmy się dnia następnego na morzu Czerwonym, u wejścia do cieśniny Jubel, skąd skierowaliśmy się ku najbliższemu celowi naszej podróży: osadzie angielskiej — Aden, położonej na południowym cyplu półwyspu Arabskiego.

Kolor morza Czerwonego jest przeważnie modry, czasami wpadający w zielony, podczas zmroku zaś nabiera ono prześlicznej barwy stalowej. Przebyłem je sześć razy, a nie zauważyłem nic takiego, coby mogło usprawiedliwić jego nazwę. Jest ono wszystkim innym, tylko nie „czerwonym”. Właściwie należałoby je nazwać „morzem gorącym”, gdyż od Suezu aż do Adenu przedstawia ono, że się tak wyrażę, piec, pełen żaru. Zdaje się, że sąsiednie kontynenty: Azja i Afryka całe swe gorąco wydzielają w tym właśnie miejscu. Gdy się odczuwa te upały, wówczas łatwo przekonać się, że my niesłusznie narzekamy na dwudziestokilkostopniowe gorąco, które na morzu Czerwonym uchodzi za temperaturę prawie zimową.

Najlepszym dowodem niezwykłego gorąca na morzu Czerwonym jest okoliczność, że naczelną komenda austriackiej marynarki wojennej, zarządziła, by dla obsługi maszyny parowej, podczas przeprawy w miesiącach letnich, przyjmowano palaczy tubylców (Arabów), w celu oszczędzenia zdrowia własnej załogi. Korzystając więc z tego pozwolenia, przyjęto w Suezie 12 palaczy, a sprawiedliwość każe mi przyznać, że wywiązali się oni znakomicie ze swego zadania, pomimo zwrotnikowego gorąca, którego nasi palacze z załogi z pewnością nie byłiby zniesli bez uszczerbku dla zdrowia.

Drugiego dnia po wyjeździe z Suezu temperatura w cieniu wynosiła 34°, na słońcu zaś 51° C., a pomimo tego pilot Achmed Rafaj, zapewniał nas, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co nastąpi... ładna prospektywa! Pomimo ograniczenia wszelkich manewrów do najniezbędniejszych i zarządzenia dwukrotnej kąpieli (tuszów) prawie cała załoga cierpiała na wysypkę z gorąca (calories). Duszny skwar, nasycony wilgocią atmosfery, był nie do wytrzymania. Wkrótce też i tusze nie sprawiały żadnej ulgi, gdyż temperatura wody była niewiele niższą od temperatury powietrza, dochodziła bowiem czasami do 37° C.

W miarę posuwania się okrętu ku południowi, upał wzrastał się bezustannie. Przepowiednia Achmed Rafaja ziściła się. Minąwszy bowiem zwrotnik Raka, obserwowaliśmy w cieniu 38°, na słońcu 57.5° C., podczas gdy w cieniu wskazywał 42.4° C. W czasie tym gorąco w maszynie parowej dochodziło do 70° C., łatwo więc sobie wyobrazić, co wycierpieli biedni palacze, pomimo, iż się w służbie zmieniali co półtorej godziny.

Co głównie upał ten czyni trudnym do zniesienia to — jednostajność temperatury. Atmosfera nie ochładza się wcale, dzień i noc są prawie jednakowo upalne. Dzień cały pali słońce, a ze spodu okrętu rozżarzone kotły maszynowe podnoszą niesłychanie temperaturę. Każdego wieczora ma się nadzieję, że noc przyniesie pewną ulgę przez spadek temperatury; niestety, nadzieja ta okazuje się płonną, gdyż termometr zniża się zaledwie o kilka stopni.

Gorąco to odczuwa się jeszcze bardziej z powodu szczupłości miejsca na okręcie. Nie bardzo obszerne kajuty wydają się niesłychanie szczupłymi, łóżka za wązkie. Leży człowiek w nich cały potem oblany, a przewracając się z jednego boku na drugi, wyczekuje snu. Niestety, nadaremnie, zapada się tylko w jakiś półsen, podczas którego nie wie się nawet, czy się śpi, czy czuwa i z którego szybko się budzi. Wobec tego o spę-

dzeniu nocy w kajucie nie ma mowy; wszyscy wychodzą na pokład, gdzie przynajmniej od czasu do czasu daje się odczuwać przyjemny, chłodny prąd powietrza, wywołany poruszaniem się okrętu naprzód.

Do tych wszystkich dolegliwości dołącza się jeszcze ciągle pragnienie, którego niczym ugasić nie można. Nadaremnie wlewać w siebie całe masy chłodzących napojów, wodę sodową z whisky, whisky z wodą i sokiem cytrynowym, nic to nie pomaga, pewną ulgę czuje się tylko podczas picia. Aż wreszcie człowiek skutkiem tego zwrotnikowego gorąca, ciągłego pocenia się i bezsenności, zapada w dziwną apatię obojętniejszą na wszystko.

I to trwa podczas całej przeprawy przez morze Czerwone.

Chociaż morze Czerwone nie jest bardzo szerokie, mimo to, płynąc przez nie, nie często się widzi brzegi lądu. Jeśli się coś na horyzoncie spostrzeżga, jest to zwykła naga, przez słońce wypalona, skała, na której niema ani śladu roślinności. Wieczorem zato dają się spostrzeżać liczne światła latarni morskich. Gdy się patrzy na te wśród cieniów nocy migające światełka, odbiera się mimowoli dziwne wrażenie na myśl, że są ludzie, którzy istnieć mogą wśród tego isticie piekielnego skwaru, sami, zdala od osad ludzkich, aby utrzymywać to światło dla bezpieczeństwa drugich. Morze Czerwone należy bowiem pod względem żeglugi do najniebezpieczniejszych mórz. Pełno w nim mielizn, raf i skał podwodnych, a nierzadko spotyka się maszty, wysterkające z wody, jako znak, iż jakiś statek znalazł grób w tych zdradzieckich falach.

A pomimo tych wszystkich niewygód i niebezpieczeństw, tej wielkiej apatii i zubożenia, człowiek z zajęciem śledzi przebieg przeprawy przez morze Czerwone, przychodzi mu bowiem na myśl historia święta i z ciekawością stara się zbadać, gdzie to miejsce, którędy Żydzi przecho-

dzili, gdzie ta otchłań, w której znaleźli śmierć Faraon i ścigający Żydów Egipcjanie.

Czwartego dnia po wyjeździe z Suezu spostrzeżliśmy po lewej stronie długie wysoko w chmurę sięgające pasma gór.

To Synaj.

Okręt przepływa wzdłuż tego pasma, które zdaje się być tuż niedaleko. Od brzegu wznosi się łagodnie, poczym nagle strzela wysoko w górę. Cisza naokół... Puste jest morze, puste wybrzeże i puste góry, bez drzew, bez krzaków bez śladu mieszkań i osad ludzkich. Jest to wielka szara skała, z której gdzieniegdzie odbija czarna barwa granitu. Czy są one poprzerywane, czy tworzą przepaści i przesmyki—z pokładu nie widać. W górze, z grzbietu sterczą wierzchołki wzgórz, a najwyższy z nich—*Djebel-Musa* to ten, na którym Bóg nadał Mojżeszowi dziesięcioro przykazań.

Korweta płynie wzdłuż Synaju i jeszcze późnym wieczorem widać go na horyzoncie. Milczący, samotny szczyt *Djebel-Musa* strzela ku niebu i strzeże tajemnicy Boskiego prawodawstwa. Z pewnym pietyzmem spogląda człowiek na tę górę, na której nic nie rośnie, nic się nie zieleni, a której sławie jednak nic nie dorówna, dlatego, że przed wiekami wydała jeden piękny kwiat:—kwiat dziesięciu najwznioślejszych myśli...

Wieczorami widać na cudnym, gwiazdami zasianym niebie „Krzyż Południowy”. Cztery większe oddalone od siebie gwiazdy stanowią końce krzyża. Gdy się na gwiazdy te spogląda, to w pierwszych dniach trzeba przywołać na pomoc sporą dozę fantazji, aby ujrzeć w nich wizerunek krzyża, tymbardziej, że z początku konstelacja ta znajduje się na horyzoncie w postawie na pół leżącej. Wkrótce atoli zmienia swe położenie, stoi na niebie i wówczas to tworzy prawdziwy krzyż... Jakaś niewidzialna ręka zdaje się go trzymać wśród cieniów nocy.

Stanisław Bobelak.



ROZMAITOSCI.

Ciekawa książka. Niedawno wyszła w języku angielskim książka p. t. „*Japan by the japonese*” („Japonja w oświetleniu Japończyków”) wydana z inicjatywy i staraniem Alfreda Steade’a. Dzieło składa się z oddzielnych artykułów, których treścią są różne stro-

ny życia i dziejów Japonji. Artykuły opracowane zostały przez najwybitniejszych uczonych i działaczy społecznych tej imponującej dziś wszystkim krainy. Tak np. margrabia Ito przedstawił charakterystykę polityki zagranicznej Japonji, marszałek Jamagata wojskowości i polityki wewnętrznej, admirał Laito opisał marynarkę, odpowiedni zaś ministrowie opracowali działy handlu, sprawiedliwości, sprawy pocztowe i t. p. są nawet artykuły o feminizmie w Japonji, sprawach szkolnych, religji, wogóle o wszystkim, co dotyczy cywilizacji, życia politycznego i gospodarki społecznej.

Książka, o której mowa, została już przełożona na język niemiecki; należy przypuszczać, że ukazanie się jej i w naszym języku byłoby interesującym epizodem wydawniczym.

„

Wyprawy podbiegunowe. W sierpniu r. b. powrócił do Portsmouth statek „Discovery”, który w d. 6 sierpnia r. 1901 wyruszył był ku biegunowi południowemu.

Nie przypuszczano wtedy, że wyprawa przeciągnie się 3 lata; wobec braku wiadomości o losach wyprawy wysłano w r. 1903 na odszukanie „Discovery” statki „Morning” i „Terra Nova”. „Discovery”, dotarwszy do 82°17' szer. połudn. poczynił wiele ważnych odkryć i spostrzeżeń. Pomiędzy innymi ustalono, że leżący pod biegunem południowym ląd stały był niegdyś połączony z kontynentem Australji, ponieważ flora i fauna obu tych lądów są identyczne. Nową wyprawę do północnych krańców podejmuje geograf amerykański i wsła-



Statek „Discovery”; i psy polarne.

wiony już badacz krajów polarnych Peary. Do podróży tej przygotowują specjalny statek, ze wszystkimi najnowszymi ulepszeniami, którego koszt wyniesie 350 tysięcy dolarów. Peary zamierza wyjechać na przyszłe lato i tym razem spodziewa się niezawodnie dotrzeć do bieguna północnego.

„

Samochód w Watykanie. Jak donosi czasopismo „Automobil”, wezwano niedawno do Watykanu przedstawicieli różnych fabryk dla przedstawienia Papieżowi rysunków najnowszych samochodów. Ojciec Św. uważnie przeglądał rysunki i cenniki, zapytywał o szczegóły konstrukcji i wybrał jeden z tanich samochodów, który polecił kupić dla przejażdżki po ogrodach wa-

tykańskich. Osobliwością tego samochodu, który ma być pomalowany na biało, będzie wielki krzyż na przedzie pojazdu.

Poczta w Japonji. Poczta japońska nie ustępuje bynajmniej europejskiej, Japonja bowiem liczy: 4567 zarządów pocztowych, 51,347 skrzynek, czyli niewiele mniej niż St. Zjednoczone Ameryki północnej oraz 57,965 urzędników. Sprawozdanie z ostatniego roku wykazało, że przez biura pocztowe japońskie przeszło 203 miliony listów, 483 milionów kart pocztowych, upodobanie pocztówek znalazło zatym i w państwie wyspiarskim rzesze zwolenników. Jedynie przez poczty niemieckie, amerykańskie i w. brytańskie przechodzi ich więcej. Dochód z poczt japońskich wynosił

r. 1902 51 milionów franków, a rozchód nieco mniej niż 50 milionów, tak że do kasy państwa wpłynęło tylko 1,2 miliona dochodu z tego źródła. Zamiana posyłek pocztowych najbardziej ożywiona z Chinami; liczbę ich podają 1,8 miliona, podczas gdy do Korei wysłano 1,7 miliona, do St. Zjedn 1,5 milj. Ruch do Europy pod tym względem niewielki: między W. Brytanią a Japonią liczba posyłek pocztowych dochodzi do 46000, a między Niemcami do 40000. Do wszystkich innych państw europejskich ogółem do 100000.

N. K.

Francuska wyprawa do bieguna północnego. Albert książę Monaco nosi się z myślą urządzenia wyprawy do bieguna północnego z wyspy Benetta. Książę nie ma zamiaru przewodniczyć osobiście wyprawie, lecz chce tylko, jak donosi „Globus”—ponieść koszty i zafiarował w tym celu 1200000 marek. Dwa statki mają być przygotowane do drogi. Ułożeniem planu wyprawy zajmuje się mierzman Karol Benard, przysłyż jej kierownik.

N. K.

Samochody i koleje żelazne. W czasopiśmie „Word's Work” umieścił H. Normann artykuł, w którym dowodzi, że w niedługim czasie koleje żelazne ustąpią miejsca samochodom, jako lepszemu środkowi komunikacji. Według H. Normana—wydatki na budowę i utrzymanie toru kolejowego z niezliczonymi zastępami urzędników są niepotrzebne, gdy samochody na zwyczajnych drogach pod względem szybkości biegu i regularności krążeńia zupełnie zastępują pociągi kolejowe. „Znajdujemy się — mówi Norman — w przededniu przewrotu, który będzie miał daleko donioślejsze następstwa niż wynalazki Watta i Stephensona.” To samo zdanie wypowiedział już poprzednio H. G. Wells, znany pisarz angielski, który nie tylko przepowiada zupełnie usunięcie koni ze wszystkich dziedzin przewozu, lecz zagładę kolei żelaznych w obecnej ich formie, twierdząc, że przyszłość należy do samochodów („Wizje przyszłości” Warszawa 1904). Przeciwno tym śmiałym zdaniom wystąpiło czasopismo „Engineering”, uważając samochody jedynie jako środek dla komunikacji spacerowej, oraz przejazdów na mniejszych przestrzeniach i przyszłość ich widząc w pełnieniu funkcji kolei podjazdowych. Każdą większą stacją kolejową będzie obsługiwało w przyszłości kilka samochodów, które, kursując na przestrzeni 50-100 wiorst wokoło, zapewnią prawidłową komunikację pomiędzy miejscowościami, do których przeprowadzenie kolei nie miałyby racji i wartości.

Wogóle Norman i Wells przebywają w krainie fantazji, „Eneingering” trzyma się bardziej gruntu realnego. Pierwsi widzą w przyszłości nieuniknioną zaciętą walkę między kolejami a samochodami, z których zwycięzcą wyjdzie samochód; drugi żąda, aby oba te środki przewozu szły ręką w rękę, wspomagając się wzajemnie. Ten drugi pogląd znajduje zapewne więcej zwolenników u nas, gdzie różne próby zaprowadzenia komunikacji samochodowej kończyły się równie szybko, jak i niefortunnie. Takie nieudane próby pochodzą zapewne głównie z braku wykwalifikowanych palaczy i opłakanego stanu naszych dróg, zrażać przeto nie powinny; przewidując bowiem ulepszenia tego jednego z najnowszych wynalazków, nie można mu odmówić doniosłego znaczenia w przyszłości. Jeżeli nie pokona

kolei żelaznych—jak chce Wells—to niewątpliwie zastąpi z czasem i na naszych traktach wychudłego kulającego konia, poganianego biczem i krzykiem przez brodatego woźnicę.

A.



Jak zostać fotografem?

X.

W uwagach naszych o obiektywach wspominaliśmy, iż siła świetlna obiektywu oznacza się cyfrą, wyrażającą *otwór względny* t. j. stosunek otworu rzeczywistego do odległości ogniskowej. Jeżeli otwór względny danego obiektywu jest $\frac{1}{8}$, to wyraża się on: f8. Znaczy to, że średnica wiązki promieni świetlnych, wchodząca przez przednią część obiektywu, stanowi ósmą część odległości ogniskowej. W jednym jednak i tym samym obiektywie przez zmniejszenie djafragmy w celu zwiększenia ostrości i t. p. zmieniamy otwór względny obiektywu. W tym celu na obręczce djafragmy są porobione numery; w różnych obiektywach są różne systemy numeracji djafragm, lecz najczęściej odpowiadają one otworowi względnemu obiektywu. W ogóle, jeżeli bierzemy jaki obiektyw i eksponujemy przy pełnym otworze, dajmy na to 1 sekundę, a później zmniejszamy otwór obiektywu przy pomocy djafragmy 2 razy, to czas ekspozycji wziąć musimy 4 razy dłuższy niż początkowo t. j. 4 sekundy. Jeżeli otwór zmniejszymy 3, 4, 5 i t. d. razy to czas ekspozycji należy 9, 16, 25 i t. d. razy wziąć dłuższym czyli przesuwając wskazówkę djafragmy na oprawie obiektywu od jednej kreski do drugiej, zmniejszamy lub zwiększamy każdorazowo 2 razy poprzedni czas ekspozycji. Dla ułatwienia ekspozycji, którą się nabywa wprawą, istnieją oprócz specjalnych zegarków do oznaczeniu ekspozycji (np. fotometr Wynn'a) tablice ekspozycji. Podajemy tablicę Burtona jako jedną z najpraktyczniejszych. Zauważyć również należy, że przy eksponowaniu zdjęć szybkich, trzeba zawsze używać migawki, a na migawce oznaczone są zwykle numery, określające, na jaką szybkość migawkę możemy nastawić. Numery te oznaczają albo wprost części sekundy albo siłę naciągnięcia sprężyny, która jest objaśniona w sposobie użycia migawki.

Tablica ekspozycji Burtona wyraża czas ekspozycji dla różnych otworów względnych i rozmaitych przedmiotów w miesiącach lata od godziny 9-ej rano do 4-ej po południu. W innych porach roku (wiosna i jesień) należy czas ten brać dwa lub trzy razy dłuższym, a w miesiącach zimowych (listopad, grudzień, styczeń, luty) od trzech

do pięciu razy dłuższym. Jeżeli niebo pokryte jest białymi chmurkami, które odbijają wiele promieni, to ekspozycję należy zmniejszyć o połowę; to samo bywa, gdy ziemia pokryta jest śniegiem czystym, dającym silny odbłask. Wreszcie przy zachmurzonym niebie eksponować trzeba dwa lub trzy razy dłużej, niż w dzień pogodny. Należy również zwrócić uwagę, iż wogóle jest lepiej kliszę trochę przeeksponować i mocniej wywołać, niż niedoeksponować.

Porównawcza tablica ekspozycji Burtona, oznaczająca czas ekspozycji przybliżony, podany na zasadzie, iż zdjęcia robiono od 9-ej rano do 4-ej po południu na kliszach średniej czułości S oznacza sekundy, M—minuty, G—godziny.

Otwór względny obiektywu	Zdjęcie wody lub nieba	Widok w otwartym polu	Widok, któ- rego to cie- mne np. las	Zdjęcie pod drzewami	Widne wnętrza	Ciemne wnętrza	Portrety przy dobr. oświetleniu	Portrety przy altano wym osw.	Portrety w pokoju
f/4	$\frac{1}{160}S$	$\frac{1}{50}S$	$\frac{1}{8}S$	—10S	—10S	—2M	$\frac{1}{6}S$	—1S	—4S
f/5	$\frac{1}{30}$ „	$\frac{1}{25}$ „	$\frac{1}{4}$ „	—20 „	—20 „	—4 „	$\frac{1}{3}$ „	—2 „	—8 „
f/8	$\frac{1}{43}$ „	$\frac{1}{12}$ „	$\frac{1}{2}$ „	—40 „	—40 „	—8 „	$\frac{2}{3}$ „	—4 „	—16 „
f/11	$\frac{1}{20}$ „	$\frac{1}{6}$ „	1 „	1M20 „	1M20 „	—16 „	$1\frac{1}{3}$ „	—8 „	—32 „
f/16	$\frac{1}{10}$ „	$\frac{1}{3}$ „	2 „	2 „ 40 „	2 „ 40 „	—32 „	$2\frac{2}{3}$ „	—16 „	1 M4S
f/22	$\frac{1}{5}$ „	$\frac{2}{3}$ „	4 „	5 „ 20 „	5 „ 20 „	1G4M	$5\frac{1}{3}$ „	—32 „	2 „ 8 „
f/32	$\frac{2}{5}$ „	$1\frac{1}{3}$ „	8 „	10 „ 40 „	10 „ 40 „	2 „ 8 „	$10\frac{1}{2}$ „	1M 4S	$4\frac{1}{2}M$
f/45	$\frac{4}{5}$ „	$2\frac{2}{3}$ „	16 „	21 „	—21 „	—4 $\frac{1}{2}$ „	—21 „	2 „ 8 „	$8\frac{1}{2}$ „
f/64	$1\frac{1}{2}$ „	$5\frac{1}{12}$ „	32 „	42 „	—42 „	—8 $\frac{1}{2}$ „	—42 „	4 „ 16 „	17 „

W miesiącach lata przy niebie czystym, lecz bez białych chmur

Tablica powyższa, jedna z lepszych, istnieje również w rozmaitych przeróbkach, jak np. J. M. Edera i innych. Oczywiście, że przy różnorodnych danych polegać zupełnie na niej nie można, lecz, o ile kierujemy się własnymi spostrzeżeniami i stosujemy je, może ona oddać nam duże usługi. Porównyując dane w powyższej tablicy uważnie, zwrócimy uwagę, iż w niektórych wypadkach wyda nam się czas ekspozycji zbyt długim, lecz po pierwsze w tablicy miano na uwadze uwzględnienie najniekorzystniejszych warunków ekspozycji, a po drugie wywołanie kliszy, sownicie wyeksponowanej, można zawsze wstrzymać dodaniem bromku, o czym powiemy obszerniej przy wywołaniu klisz. Odkryć kliszę na działanie światła w aparacie należy zawsze przed samą ekspozycją, przyczem szyber kasety należy wysunąć możliwie ostrożnie i najlepiej zawsze pod sukmem, którym jest przykryty szczelnie aparat w czasie nastawiania. Wracając jeszcze raz do przejścia powyższej tablicy, widzimy, iż przy zdjęciach w dobrych warunkach nieodzowną jest migawka, gdyż ekspozycji $\frac{1}{16}$, $\frac{1}{30}$ a nawet i $\frac{1}{2}$ sekundy nie można dokładnie utrafić, odkrywając kapsel obiektywu ręką, na migawce zaś, jak wspomnieliśmy, są znaczki do nastawiania na pożądaną szybkość.

Przy nabywaniu wprawy w ekspozycji pożądanym jest również notowanie dokładne wszystkich warunków, w jakich robiono zdjęcie, wraz z uwagami, jakie były wyniki przy wykonaniu zdjęcia. To uchroni nas od powtórzenia błędów w przyszłości.

(d. c. n.)

Wł. Karoli.



Zamówienia z prowincji i Cesarstwa po nadesłaniu miary

WYKONYWA

Krawiec T. NIEDŹWIEDZKI

Warszawa, Nowy-Świat 37.

Sposób zdjęcia miary dla ubiorów męskich.

SURDUT:

1) Długość stanu (talji) od A do B. 2) Długość od B do C. Miarę surduta lub innego wierzchniego ubrania złączyć od A do C. 3) Połowa szerokości pleców od D do E. 4) Długość rękawa od E, przy podniesieniu zgiętej ręki do łokcia F, od F zaś, nie odjmując miary do końca rękawa G. 5) Całkowita objętość piersi wokoło, wzięta pod pachami na kamizelce, a—b. 6) Całkowita objętość w pasie, wzięta na kamizelce E—F.

KAMIZELKA:

1) Długość od c, z tyłu od środka szyi, do d. 2) Objętość piersi (a—b) i pasa (E—F).

SPODNIE:

1) Długość spodni od biodra (A) po niżej pięty, równo z obcasem (B). 2) Długość od szwu międzykrocza (C) po szwie po niżej pięty, równo z obcasem (D). 3) Całkowita objętość pasa pod kamizelką po koszuli (E—F).

10—2



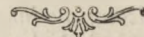
PRZEMYSŁ I HANDEL KRAJOWY.

(nad.)

D. 1 sierpnia r. b., po dopełnieniu poświęcenia przez ks. S. Walichnowskiego, otwarta została w Warszawie na rogu Wilczej i Kruczej Nr. 16 Mleczarnia Polska. Właściciel tego zakładu p. Józef Dutkiewicz początkowo prowadził w małym zakresie sprzedaż hurtową i detaliczną nabiału; przy ul. Kruczej Nr. 44 (gdzie obecnie pozostała filja 1-sza.) Z biegiem czasu coraz bardziej rozwijał ten dział, wreszcie nawiąawszy formalną współpracę z p. Pigułowskim, założył na szeroką skalę wspomnianą **Mleczarnię Polską**. Mleczarnia, dostarczająca zawsze świeżych i wyborowych produktów, posiada umeblowane z komfortem pokoje dla gości, dla rozrywki których znajduje się chwilowo jeden bilard najnowszej konstrukcji. Z powodu staranności gospodarza i uczciwego prowadzenia interesu, zakład zyskał od razu szerokie poparcie publiczności. Prócz wszelkich wyrobów mleczarskich, między którymi odznaczają się zwłaszcza

znakomite gомółki i sery, mleczarnia pod osobistym kierunkiem właściciela, wypieka rozmaite ciasta, baby, placki i t. p. Urządzeniem zakładu zajmował się cechowy majster stolarski p. M. Kroczewski, który wywiązał się ze swego zadania pod każdym względem zadowalająco. Mleczarnia Polska, prócz wydawania produktów na miejscu, uskutecznia wszelkie zamówienia na miasto, wykonywając je sumiennie i akuratnie.

J. A.



ZAKŁAD OGRODNICZY
„EMILIA“

MARSZAŁKOWSKA № 68.

Wykonywa najtaniej wieńce, bukiety ślubne, wiązanki, dekoracje i t. d. Największy wybór roślin kwitnących i doniczkowych. 8-1

HERMAN i GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA 16.
S T. P E T E R S B U R G — M O S K W A.

Fortepiany i Pianina

słynnych fabryk

C. Bechstein, Steinway & Sons, Rönisch Tresselt.

ANGELUS ORCHESTRAL

pneumatycznie samogrający instrument, zastosowany do fortepianu lub bez takowego, daje następujące kombinacje:

1) solo fortepian, 2) solo organki, 3) Powyższe instrumenty razem.

Cenniki bezpłatnie. Sprzedaż na rozplaty miesięczne.

Wynajem wyborowych instrumentów. Telef. 555.



Treść № 41. Na Dalekim Wschodzie, przez *Jozefa Gieysztorę* (z rysunkiem).—Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej, napisał *Marjusz Zaruski*.—Plemiona wymierające, przez *Wł. Zarembinę* (z rysunkami). — Indje, przez *Piotra Loliego*, tłumaczył *Józef Jankowski*.—Morze Czerwone, przez *Stanisława Bobelak*. — Rozmaitości (z rysunkiem).—Dla miłośników fotografii, przez *Wł. Karolego*.—Przemysł i handel krajowy, przez *J. A.*—Ogłoszenia.

Treść „Biblijoteki ilustrowanej podróży i powieści.” Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 121—136).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblijoteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.— Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20 —Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszer,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.